

2a. Młyn nad Skrwą

Gdzie perlowa harmonia Mietka i „Polka Szabasówka” dały mi po okupacji, możliwość ułożenia pierwszej w życiu piosenki: „Głowa do góry”.

Kiedy Sierpc nazywał się Sichelberg i znalazł się z dnia na dzień w prowincji Siidostpreussen III Rzeszy, rodzinną willę przy Tułodzieckiego zajął jakiś niemiecki żandarm. Naszą okro-



Autor wychyla się z „historycznego” lufcika w oficynie przy N. Rynku. Zdjęcie wykonane w 1940 r, zanim nas z tej oficyny wysiedlono na ul. Szpitalną.

joną rodzinę wysiedlono najpierw, późną wiosną 1940 roku, do parterowej oficyny przy Nowym Rynku pozwalając zabrać ze sobą tylko pościel, ubranie i żywność. Następnie - jesienią tegoż roku - kazano nam znowu wynieść się. Tym razem do nędznej izby na poddaszu, w drewnianym i najprawdopodobniej żydowskim budynku przy ul. Szpitalnej (wówczas Alte Strasse) nr 8. Tym razem jednak było jeszcze gorzej, bo nie pozwolono nam zabrać jakichkolwiek rzeczy poza tymi, które mieliśmy na sobie.

W tej sytuacji, następnego dnia po ostatnim przesiedle- niu, pomimo oplombowanych drzwi w poprzednim miesz- kaniu i grożącego niebezpie- czeństwa, mój brat, Jurek, został przez tzw. „lufcik” wsadzony do wnętrza i z na- rażeniem życia odzyskaliśmy

większość przedmiotów niezbędnych do ubrania się, do spania i gotowania. Oprócz mnie i Jurka, w tej niebezpiecznej akcji brał również udział najmłodszy z nas - Zbyszek.

Ojciec natomiast, choć ukrywał się pod obcym nazwiskiem, nie uniknął Pawiaka i Oświęcimia. Na mnie - jako najstarszego

z synów - przypadł główny ciężar utrzymania rodziny. Miałem wtedy 16 lat.

Pierwsze dziesięć miesięcy 1940 roku, przepracowałem za marne grosze w sklepie „ELEKTRO-RADIO”, jako ekspedient. Wówczas, zjawił się nieoczekiwanie na naszym poddaszu, mieszkający dotychczas w Warszawie daleki kuzyn mojej Mamy, Mietek Ambroziewicz. Był on o kilka lat starszy ode mnie. Mama zapewne знаła go w młodości, bo sama wywodziła się (w linii żeńskiej) z rodziny Ambroziewiczów. Mietek zaproponował, abym przyjął pracę (formalnie robotnika) w młynie wodnym w Mieszcuku, oddalonym od miasta mniej więcej o dwa kilometry. Został już w tamtejszym młynie, u Henryka Bomerta, buchalterem. Można by rzec buchalterem rodzinnym, ponieważ Bomert ożenił się przed wojną z jego ciotką, Zofią Ambroziewiczówną.

Okazało się przy tym, że Mietkowi zależało na mnie, jako kimś zaufanym z rodziny, ponieważ - jak się znacznie później okazało - działał aktywnie w sierpeckiej strukturze AK. Niestety później, ten dzielny chłopak, po ogólnej wpadce sierpeckiej siatki organizacyjnej, został aresztowany i osadzony w Oświęcimiu.

W samym młynie zaś, pod ochronnym parasolem spolszczonego Niemca, wujka Bomerta, Mietek uprawiał proceder naganinno fałszowania wpisów w kartach przemiałowych, aby chłopcy mogli przerabiać zboże na mąkę w dużo większej ilości, niż na to zezwalał okupant. Ponadto prowadził przemiał pszenicy dla Polaków, co w ogóle było zakazane. Ja też zostałem wkrótce dopuszczony do przyjmowania ziarna i wydawania mąki oraz do tajemniczego procederu fałszowania kart. Nauczyłem się też chytrze pakować do dużych worków z mąką żytnią, mniejsze woreczki z pszeną. Nie da się ukryć, że w chłopskich workach ze zbożem często ukryte bywały i butelki z samogonem oraz wędliny potajemnego wyrobu, co tworzyło we młynie warunki do niejednej libacji.

Po pewnym czasie do naszego młyna zjeżdżali chłopcy nie tylko z powiatu sierpeckiego, ale także z rypińskiego, lipnowskiego i płockiego, bo tak szeroko znana im była możliwość nielegalnego przemiału zboża w Mieszcuku. W razie wpadki, mogło to nawet grozić postradaniem głowy, jednakże razem z Mietkiem byliśmy wtedy młodzi i odważni. Solidarność chłopów oraz ich spryt do

kamuflowania tego typu praktyk były wielkie, natomiast działania żandarmów (obłaskawianych niewątpliwie poza-kartkową mąką Bomerta) stosunkowo powierzchowne. Tak więc, pomimo aresztowania Mietka z powodu działalności w AK - mogłem samodzielnie, aż do nadejścia frontu, kontynuować zapoczątkowaną przez niego nielegalną działalność przemiałową.

Po niedługim czasie od rozpoczęcia pracy w Mieszczku, zamieszkałem w domu Bomertów, we wspólnym pokoju z Mietkiem oraz jego przyjacielem z warszawskiej handlowki, Jurkiem Lubą, późniejszym dość znanym architektem.¹⁰ Było to o tyle uzasadnione, że praca w młynie zaczynała się już od szóstej i trudno byłoby mi dotrzeć z Sierpca o tak wczesnej godzinie, a ponadto mogłem choć trochę rozluźnić ciasnotę na domowym poddaszu przy Alte Strasse 8.

Zresztą w okolicy młyna było cudownie. Woda, spiętrzona groblą i stawidłami, rozlewała się szeroko, a sosnowy lasek ozdabiał wysoki, przeciwległy brzeg Skrwy. Zaś nad samą wodą, z obu stron rzeki i wzdłuż grobli, bogato zieleniły się olszyny zapewniając znakomite siedlisko wiosennym słowikom. A i sam - posadowiony na palach, drewniany i dwupiętrowy - młyn, stanowił w tym mazowieckim krajobrazie nie lada perełkę zanikającej architektury. Urok miejscowego krajobrazu wzbogacał ponadto widoczny na niebie, choć ostro kontrastujący z naturą, łuk stalowej kratownicy kolejowego mostu. Ten położony był nie dalej niż w odległości dwustu metrów od poczciwego młyna. Wrażen dopełniały też stada kaczek i gęsi pływających po wodzie oraz chłopskie wozy i konie różnej maści, obecne przy młynie już od świtu. Całemu bogactwu natury towarzyszył ponadto - miły uchu - szum spiętrzonej wody poruszającej dębowe łopatki turbiny.

Nic dziwnego, że często można było spotkać nad wodą artystę malarza, Stefana Tamowskiego, którego - jako gospodarza mej gimnazjalnej harcówki - przywołałem już w jednym z poprzednich opowiadań. Mistrz, po wysiedleniu z własnego domu w pobliżu dworca kolejowego, nie tylko tu zamieszkał wraz ze swą

¹⁰ Między innymi projektował w Warszawie budynek w Alejach Jerozolimskich, położony naprzeciwko domu handlowego „Smyk”.

piękną żoną Jadwigą i nie tylko malował. Także, z wielką pasją oraz skutecznie, łowił szczupaki.

Ależ naturalnie! I w Mieszcuku, w głębi okupacji, nie przestałem śnić o harcerstwie i o wojsku. Co prawda, niczego wielkiego nie zdziałalem, ale za to głupiego - na pewno! Mianowicie, jedynie przez nieodpowiedzialny sentymentalizm, mogłem się narażić nawet na Oświęcim. Otóż, w tajemnicy przed otoczeniem a nawet przed Mietkiem, wydobylem z najskrytszego schowka spłowiały mundur harcerski z naszytymi na rękawie sprawnościami i wdziałem na siebie. Następnie, przy użyciu samowyzwalacza zrobiłem w ogrodzie fotografię. Podobnie sfotografowałem się w polskiej, żołnierskiej czapce polowej. Głupstwo było podwójne, ponieważ film dałem do wywołania w sierpeckim warsztacie Stasia Rutkowskiego i w przypadku jakiejś rewizji w zakładzie, konsekwencje mogły być okropne. Jedyna korzyść z mej ówczesnej, harcersko - wojskowej dziecinady jest tylko taka, że dziś te (dość marne technicznie) zdjęcia posiadam w swoich zbiorach.

Być może pominąłbym w ogóle w „Meldunkach z ostatniej linii frontu” opowiadanie o Mieszcuku, gdyby nie przypadkowy fakt, że właśnie tam nauczyłem się trochę grać na akordeonie, bez czego nie byłoby pewnie po wojnie żadnej piosenki druha Chojnickiego w harcerskich śpiewnikach. A stało się to tak. Niemcy, pomimo wojny i potrzeb z nią związanych, nie zaprzestali produkcji niektórych przedmiotów czasu pokojowego, np. instrumentów muzycznych. Z kolei, ich handlowa tradycja i wrodzony porządek powodowały, że również nie zaprzestali rozprowadzania tego typu przedmiotów poprzez katalogi firm wysyłkowych.



Oto jedno z potajemnych zdjęć autora, w mundurze harcerskim, wykonanych w Mieszcuku, podczas okupacji.



Mieczysław Ambroziewicz 1941.

Mietek Ambroziewicz, jak mi się zwierzył, od dziecka marzył o posiadaniu akordeonu i to koniecznie w kolorze perłowym. Być może widział kiedyś w Warszawie taki lśniący instrument i tylko podobny mógłby teraz zaspokoić jego dziecinne tęsknoty.

Tak więc, kiedy tylko wpadł mu w ręce katalog, w którym reklamowała się znakomita firma HOHNER, wybrał - spośród wielu proponowanych tam typów - taki, który chciałby mieć i którego cena wydawała mu się do przyjęcia. Bez wiary w pożądaný skutek, wyciął jednak z prospektu odpowiedni formularz i zawinszował sobie sześćdziesięciobasowy akordeon. Długo nie było odzewu i kiedy Mietek już zdążył zapomnieć o sprawie i uważał ją

za negatywnie zakończoną, otrzymał nagle przekaz. Listonosz anonsował przesyłkę „za pobraniem”. Po przejściu paczki na poczcie i przywiezieniu do naszego pokoju w Mieszczku, przy jej rozpakowywaniu byli obecni wszyscy, niezwykle zaciekawieni, mieszkańcy domu. Była to przecież sensacja! W opakowaniu rzeczywiście znajdował się nowiutki, zgrabny i powleczony białą masą perłową, instrument. Dokładnie odpowiadał lapidarnemu zamówieniu.

Teraz jednak zaczęły się schody, bo jak tu nauczyć się wykorzystywać ten piękny przedmiot marzeń? Zaczęliśmy rozpytywać chłopów przyjeżdżających do młyna. Okazało się wkrótce, że we wsi Bledzewo mieszka bardzo uzdolniony, ale prawie niewidomy muzykant. Nazywa się Churski, a trudni się m.in. udzielaniem lekcji gry na akordeonie.

Kiedy ów muzykant - noszący charakterystyczne, silnie powiększające okulary - przyjechał (O dziwo, rowerem!) do Bomer-tów, uzgodniono, że - ze względu na dojazd rzędu 10 kilome-

trów - korzystniej będzie dla niego mieć w Mieszcuku więcej niż jednego ucznia. Padło więc na mnie i razem z Mietkiem zaczęliśmy na zmianę ćwiczyć na tym samym instrumencie. Obaj nieźle nauczyliśmy się gam, akordów, podstawowych basów a potem wyćwiczyliśmy bodaj tylko trzy utwory: trudną i szybką polkę „Szabasówkę”, poloneza „Pożegnanie Ojczyzny” i jakiegoś skoczego oberka. Na tym się nasze lekcje skończyły i rozpoczęła się samodzielna gra, głównie ze słuchu.

Mietek górował nade mną znajomością nut i zegarmi-strzowską dokładnością ich artykułowania, moja natomiast muzyka służyła głównie do swobodnego akompaniamentu przy żywiolowym śpiewaniu. Posiadałem niezły głos, bardzo lubiłem śpiewać i znałem jeszcze z Suska sporo pieśni ludowych, biesiadnych itp.. Tam bowiem, choć jeszcze byłem dzieckiem, nigdy nie opuszczałem odbywających się (za ścianą rodzinnego domu) zebrań koła Związku Młodzieży Wiejskiej. Śpiew na tych zebraniach był obecny aż w nadmiarze, ponieważ koło



Gram na wymarzonym, perłowym akordeonie Mietka. Mieszcuk 1942.

przewodziła dwójka absolwentów Uniwersytetów Ludowych. A uniwersytety te aż kipiały od przekazywania „studentom” zasobów kultury, przede wszystkim ludowej.

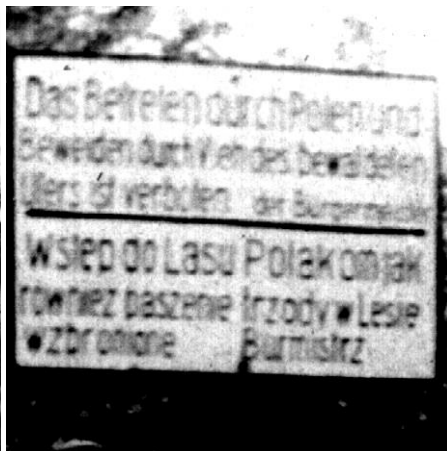
W miarę upływu okupacyjnego czasu, Niemcy najpierw urządzili sobie w pobliżu młyna, w lesie na wysokim brzegu, park niedzielny wypoczynku. W środku postawili drewniany pawilonik bufetowy, w którym sprzedawali piwo, lody i ciastka. Przy drodze, na skraju tego lasu wywiesili natomiast szyderczą ta-

blić, z błędami w języku polskim, zabraniającą wypasu trzody (w domyśle świń) oraz wstępu Polakom.

Korzystali jednak z tego lasu niedługo, bo ich armia coraz bardziej się cofała „na z góry upatrzone pozycje” i do Mieszczka już latem 1944 roku dochodziły odgłosy huku dział. Po upadku Mussoliniego, w rekreacyjnym lasku wykopano kilkanaście dużych, okrągłych ziemianek i osadzono w nich około stu internowanych żołnierzy włoskich. Codziennie rano - w mundurach, ale w drewniakach na nogach - jeńców tych prowadzono po bruku grobli obok młyna, a potem przez wieś, do kopania okopów. Drewniaki u kilkudziesięciu ludzi maszerujących po bruku wywoływały tak głośne echo, że za każdym razem przywoływały gapiów. Dozór Niemców nad byłymi sojusznikami nie był zbyt ostry i zdarzało się, że niektórzy z nich wymykali się strażnikom i nawiązywali nawet we wsi kontakty towarzyskie.

Wszakże, do zjawisk szczególnych należało pobłażanie przez strażników niemieckich pewnemu zdolnemu tenorowi operowemu, którego śpiew niekiedy dobiegał przez wodę aż do młyna. Pewnego razu, ten umundurowany śpiewak, oddzielił się od swej kompanii, wskoczył do młyna i wszedł aż na drugie piętro. Tu, poczęstowany samogonem przez jednego z młynarzy, Stanisława Alabrudzińskiego, bezkarnie i na cały głos, odśpiewał najpierw „O sole mio” a potem jeszcze dwie arie operowe. Śpiewał przepięknie wywołując ogromny podziw wiejskiego otoczenia i całej załogi młyna. Szczególnie gorącymi uczuciami darzyły go kobiety, ponieważ był również bardzo przystojnym mężczyzną.

Innym nowym zjawiskiem pod koniec wojny było zajęcie w domu Bomertów jednego z pokojów na kwaterę dla około 10 żołnierzy, których tu skierowano do dozorowania mostu kolejowego. Ich widoczne z daleka sylwetki na wysokim moście oraz maszerujące co godzinę zmiany, tworzyły wrażenie stałego dozoru przez Niemców nie tylko mostu, ale także wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku posterunków.



Obok dwujęzycznej tablicy z napisem: „WSTĘP DO LASU POLAKOM JAK RÓWNIEŻ PASZENIE TRZODY W LESIE WZBRONIONE. BURMISTRZ”, stoją: Przy słupie autor, niżej z lewej Lech Żmijewski a z prawej Mieczysław Ambroziewicz . (Głupie miny mają stanowić kamuflaż intencji. Niestety, z upływem czasu tekst na zdjęciu stał się prawie nieczytelny).

Chociaż nosili niemieckie mundury, to - jak się potem okazało - byli to wyłącznie Ukraińcy, których wcześniej Niemcy wzięli do niewoli. Dowodził nimi podoficer niemiecki, ale pochodzący gdzieś z nad Wołgi, w związku z czym mógł się z podwładnymi porozumiewać po rosyjsku.

Kiedy tylko podoficer się oddalał, Ukraińcy chętnie wdawali się w rozmowę i to szczególnie ze mną, ponieważ już wtedy grałem i śpiewałem - było to bliskie ich duszy. Od nich nauczyłem się paru rosyjskich pieśni wśród nich i tej, śpiewanej później przez Aznavour'a, „Oj raz, jeszcze raz, jeszcze mnoho, mnoho raz...” Jedno mnie dziwiło u tych „zdrajców ZSRR”. Przypuszczałem, że przekroczywszy pewną barierę psychologiczną, będą skłonni aż przesadnie krytykować Związek Radziecki i Stalina, a tymczasem zachwalali kolchozy i komunizm jako zjawiska wielce postępowe i korzystne dla człowieka.

A może był to już wpływ kukuruźników zawieszających coraz częściej na nocnym niebie świetliste flary? A może był to psy-

chologiczny efekt ogromnej, powietrznej, amerykańskiej armady. Leciała ona nad Mieszczkiem w biały dzień na dużej wysokości, aby pomóc Warszawie.¹¹ Nam, Polakom, serce rosło i nadzieja na szybkie wyzwolenie. Ostatnim akordem przed nadejściem Rosjan było przybycie na dziedziniec młyna niewielkiego, niemieckiego oddziału frontowego w podniszczonych, maskujących ubiorach. Zadaniem tego oddziału było najprawdopodobniej opóźnianie natarcia nieprzyjaciela, wysadzanie mostów itp.

Natychmiast po przybyciu, aby zdobyć pożywienie, wrzucili do rzeki granaty i wkrótce na wodzie pełno było martwych ryb. Wyglądało na to, że są to zahartowani frontowcy, ponieważ bez lęku reagowali na nalot radzieckich samolotów szturmowych na położone w pobliżu okopy. Żartowali też głośno i nie przerywali zajęć myjąc w rzece, tuż obok młyna, zdobytą ciężarówkę ZIS '5. Na pytanie dlaczego nie pucują tak starannie drugiego samochodu, pochodzącego z niemieckiej fabryki, odpowiedzieli, że ruska, prosta maszyna z drewnianą kabiną nie zawiodła ich nigdy, nawet w najtrudniejszych sytuacjach drogowych i dlatego muszą o nią dbać, szczególnie w obliczu konieczności odwrotu w jesiennych lub zimowych warunkach.

* * *

W Mieszczku nie byłem przez ponad 30 lat i znalazłem się tam ponownie dopiero w roku 1976 a to z tego powodu, że wybierając się już na emeryturę szukałem świadków okupacyjnego zatrudnienia. Kiedy zjawiłem się na dziedzińcu przed młynem, było wczesne popołudnie i późnowiosenne słońce mocno oświetlało cały fronton tej drewnianej budowli. Młyn był już wówczas nieczynny a na progu jego otwartych drzwi siedziała w słońcu przepiękna, rudowłosa, długonoga dziewczyna¹² i coś notowała w zeszycie spoczywającym na kolanie. Ten romantyczny, słoneczny obrazek natychmiast nałożył mi się na okupacyjne przeżycia. Przepuszczam, że każdy z czytelników spotykał kiedyś,

¹¹ Niebo było bezchmurne a ok. 100 wielkich bombowców leciało na wysokości ok. 10 km, wywołując białe smugi kompensacyjne – których wcześniej nie znałem. Najdziwniejsze, że dokoła tej armady uwijały się szybkie myśliwce, choć to już było tak bardzo daleko od miejsca startu.

¹² Była to Irena , największa miłość mego życia.

szczególnie w wiejskich domach, takie zjawisko, że za ramę jakiegoś dużego oleodruku zatknięto mały obrazek, otrzymany od księdza chodzącego po kołędzie.

Konfrontacja dwóch - odległych w czasie i charakterze przeżyć - była tak mocna, że napisałem wówczas jeden ze swych bodaj najpoważniejszych wierszy:

O S O L E M I O ...

Strzegą wysokiego, kolejowego mostu,
grobli, spiętrzonej wody Skrwuy;
ryb srebrnoluskich i krasnopiórych,
meandrów, wodorostów
oraz drewniaków, w których niewolni znowu szli
Rzymianie o twarzach ponurych.

Strzegą butwiejących ziemianek w leśnym parku,
tablicy: „Paszenie krów,
jak również wstęp Polakom uzbrojony”,
odgłosów frontu na karku,
kiedy już prawie wschodzi nów
i świt....jakże czerwony!

Strzegą siwiutkiego, od mąki, młyna,
derki kryjącej chłopski wóz,
fałszywych kart przemiałowych,
melodii, którą niesie drewnozębna turbina,
mąki z mazowieckich zbóż
i euforycznych podniet samogonowych.

Strzegą głośniejszej arii zbłąkanego Włocha
i wykapanego właśnie ZIS-a piat'
- cennego i dla nich w ostatnich dniach -
strzegą Gabrysi, co się w Włochu kocha
oraz tych, których stać
w królestwo ryb granatami: trach, trach!

Strzegą wysokiego szumu alianckich skrzydeł,
przedziwnej ciszy kukurużnych flar,

grzmotu dział; tun kroczących,
swoich upiornych Übermamideł,
coraz pełniejszych własnych mar
i gwiazd nieuchronnie spadających

Nie dostrzegą słońca: na odrzwia młyna,
na piękną w nich twarz,
na włosy, ręce, notatki na kolanie,
na lato, które się zaczyna,
na ziele, które masz
u bosych stóp, na oczekiwanie, zakochanie,
...na pasieczny spokój,
na lepki, olszowy liść,
na rzekę i skraj tamtego lasu
w siedemdziesiątym szóstym roku
- na cudowny obrazek chwilą zatknięty dziś
za wielką ramę czasu.



Tak, wg rysunku autora, wyglądał młyn nad Skrwą w Mieszczku, w roku 1976.